



BRONISŁAWA GOSPODAREK

ur. 1920; Nasutów

Miejsce i czas wydarzeń	Nasutów, dwudziestolecie międzywojenne
Słowa kluczowe	Nasutów, Dys, Lublin, dwudziestolecie międzywojenne, praca w gospodarstwie, wypiek chleba, warunki życia, handel, życie codzienne, dzieciństwo

Przedwojenny Nasutów

Do pracy nikt nie chodził, ni ojciec nie chodził, ni dzieci, tylko tu był taki – myśmy nazywali – folwark, majątek taki, to tutaj kto nie miał pola dużo, to chodzili do folwarku te ludzie do pracy i miały mieszkancka takie wynajęte, a my mieli więcej pola, to się robiło u siebie w polu. Krowy się doiło, mleczarnie były, to do mleczarni się mleko odstawiało, kto chciał, to do Lublina, a kto chciał, to do mleczarni odstawiały. Wszystko na kosę kosiło się, kartofle kopało, chleb piekło się w piecu, nikt nie kupował chleba ni ciasta jakiego. Piec był taki, ja jak już miałam te 15 lat, nawet może mniej, to moja babcia, mamy mojej mama, przychodziła mnie uczyć i już piekłam chleb. To się brało wiadro wody w taką dzieżę okrągło, lało się w to na noc i mąki trochę, i zakwas taki, a później się to mieszało i piekłam chleb. W piecu się paliło, drzewa się napaliło, a później chleb piekliśmy, wsadzałam chleb i to nie w brytfannę, tylko tak się nazywała taka łopata i się z miski ciasta nakładło, później na tą łopatę i w piec, 6-7 bułek się wsadziło tego chleba, upiekł się ładnie, wyjęło się, później wodą się gorącą oblało, świecący, ładny, dobry chleb był. Tak mnie nauczyli moja babcia. Tego ciasta, co już zostało, trzeba było wydrapać z dzieży, to brałam, gałkę robiłam, i tu wodu, co obmywałam ten chleb, jak wsadzałam w piec, wzięłam szklanę i ta gałeczka [do środka] włożyłam, i postawiłam, jak ta gałeczka mi do góry wypłynęła, to trzeba było chleb wyciąć, tak mnie nauczyła, a jak nie, to na godziny, do 2 godzin czy ile, ale, mówi, najlepiej to będziesz wiedzieć tak, bo kiedyś to mało kto miał zegarek, był jeden zegar, taki duży, na ścianie, przeważnie tak piekłam ten chleb. Bardzo mi się udawał chleb i piekłam ten chleb, no bo nie miał kto, a nikt nie kupował chleba, przecież każdy upiekł se swego chleba, na święta placki, tak samo z pszennej mąki, w blachach, było ich 6-7 blaszków, znowu się upiekło. Nim się napaliło, tośmy kartofli nasypali, napiekły się. A w lecie to urwałałam liści z kapusty albo z chrzanu, zamiast posypać mąką na łopacie i kłaść to ciasto, to położyłam liść z kapusty i na ten liść [ciasto], później taki smaczny był chleb. I tych 6, 7 bułek się jadło tydzień, dwa

tygodnie, zależy, jako rodzina była. I się piekło co drugi tydzień ten chleb, dobry był taki chleb, lepszy, mi się zdaje, jak tera by upiec takiego chleba.

Jeść było, u nas nie było biedy, jeść było, tam u ojca też, bo mieliśmy pszczoł dużo, ojciec miał ten bilet, co mówię, zawsze zająca zabił, kuropatwów naskubałam całą miskę, nagotowałam rosółu z kuropatwów i jeść to mieliśmy, wszystkiego było, ale i roboty było, bo trzeba było pójść kosić, zbijać za kosą, to wiązać, to nogi pokłute, bosy, nie było tak jak tera, żeby tenisówki wsadzić, bosy po sztywniu, aż nogi były skłute. Pracy było dość, spania tylko mało zawsze było, bo trzeba raniutko było wstawać, gotować rano, bo trzeba iść w pole, trzeba rano iść w pole, bo później gorąco, no to pracy tośmy mieli dość, ale i jedzenia było, nie było biedy takiej.

Duże gospodarstwa były, ale dużo mniej [ich] było, później się porozdrabiało – jak się jedno [dziecko] pożeniło, trzeba było budować po sąsiedzku drugie [gospodarstwo], bo nikt nie szedł do miasta, tylko wszystko się na wsi mieściło, budowały się przeważnie w jednej wiosce albo w drugiej, najwyżej jedne z drugą się zapoznawały i tak się żeniły, żeby w gospodarce pracować, bo nikt nie poszedł do miasta do pracy przecież, tylko tyle co skończył szkołę i już nie chodziły do pracy. Ile dokładnie [gospodarstw było], to nie wiem, nie pamiętam tego, to trzeba by liczyć, ale dużo mniej, tylko kilka gospodarstw takich większych. Kościół, tośmy w Dysie [mieli], 6 kilometry czy 7 do Dysa, wszystko piechotu, co niedziela do kościoła, a już jak casem, to całą rodzinę brali na furmankę, jak u nas ojciec, dwa konie było, to w niedzielę jużmy jechali wszystkie do kościoła na furmance. Ale nieraz to a to konie się urobiły w polu, to przeważnie młodzież na piechoto. My to się tam ubuwali, a te starsze kobiety to wszystko bosy do kościoła, pantofle w rękę i bosy, bo to te pantofle nie były takie wygodne jak tera, te nogi pościerały, to bosy [szły] i pod kościołem się ubuwały dopiero.

A do Lublina też piechotą ile razyśmy chodzili, piechotą do Lublina, jak było towaru dużo, tośmy jeździli furmanką, a to kartofleśmy wozili do piwnic, ze zbożem, cy s czem, to już furmanką, a tak to przeważnie piechotu. Wzięło tam się trochę jajek, a to jakiegoś kogutka, a to jak truskawki się zacynały świeże – na plecy zojda, tu kosycek jeden, tu drugi i piechotu. Pamiętam, raz poszliśmy z męża siostrą, idziem, a to zima była, wzięłam se parę serów, se zrobiłam, to śmietany, wszystko na plecy i ona też i poszliśmy tak. Mróz był, zimno, pozamarzało nam wszystko na plecach, ale nam tam pokupiły, porozbirały i późniejśmy szli nazad, taka była kurzawa, że światu nie było widać, taka kurzawa i wszystko piechotu, do domu. Idziemy obie, o tu w Dysie, jużmy pół drogi uszli, tylko taki mróz, że nie wiem, idzie jeden taki pan ze wsi tam do Lublina, mówi do mnie: „Pani policzki odmroziła”, a ja myślałam, że on mnie tak oszukuje, ja tu nie czuję, białe policzki, w śniegu. Mróz był, że nie podobnie, ale każdy szedł do Lublina coś utargować.

Data i miejsce nagrania	2007-07-25, Nasutów
Rozmawiał/a	Tomasz Czajkowski
Redakcja	Justyna Molik
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"